

SABINA
WASZUT
DOBRODZIEJKA
MROczne TAjEMNICE DAWNEGO ŚLĄSKA

© Wydawnictwo WAM, 2026

© Sabina Waszut, 2026

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Sylwia Kajdana, Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autorki na okładce: @ Kinga Ziętek Moderno Studio

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-4380-0

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 629 32 70

zamowienia@mando.pl

Druk i oprawa: POZKAŁ • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Galerie Book 70g vol. 2.0
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

Spis treści

PROLOG. Katowice, Załęże. <i>Wcześniej</i>	5
1. Katowice, okolice Placu Andrzeja. Poniedziałek, 15 lipca 1935. <i>Przedpołudnie</i>	11
2. Szopienice, ul. Krakowska. Poniedziałek, 15 lipca 1935 roku. <i>Przedpołudnie</i>	16
3. Katowice, Plac Wolności. Poniedziałek, 15 lipca 1935. <i>Południe</i>	26
4. Katowice, ul. 3 Maja. Poniedziałek, 15 lipca 1935. <i>Popołudnie</i>	37
5. Katowice, okolice ul. Bogucickiej, rozlewisko rzeki Rawy. Poniedziałek, 15 lipca 1935. <i>Wieczór</i>	43
6. Katowice, Plac Wolności. Poniedziałek, 15 lipca 1935. <i>Pół godziny później</i>	48
7. Katowice, ul. Raciborska. Wtorek, 16 lipca 1935. <i>Świt</i>	58
8. Szopienice, ul. Krakowska. Wtorek, 16 lipca 1935. <i>Poranek</i>	65
9. Katowice, ul. 3 Maja. Wtorek, 16 lipca 1935. <i>Poranek</i>	74
10. Katowice, ul. 3 Maja. Wtorek, 16 lipca 1935. <i>Pół godziny później</i>	79
11. Katowice, ul. Raciborska. Wtorek, 16 lipca 1935. <i>Wieczór</i>	85
12. Katowice, okolice Placu Andrzeja. Wtorek, 16 lipca 1935. <i>Wieczór</i>	91

13. Katowice, Plac Wolności. Wtorek,
16 lipca 1935. *Godzinę później* 105
14. Katowice, ul. Żwirki i Wigury, Wydział Śledczy
Policji Województwa Śląskiego. Wtorek,
16 lipca 1935. *Jeszcze później* 114
15. Katowice, ul. 3 Maja. Czwartek,
18 lipca 1935. *Popołudnie* 129
16. Hindenburg, kolonia Borsigwerk. Sobota,
20 lipca 1935. *Pora obiadowa* 139
17. Katowice, ul. Raciborska. Niedziela,
21 lipca 1935. *Wieczór* 159
18. Katowice, ul. Raciborska. Piątek,
2 sierpnia 1935. *Wczesne popołudnie* 170
19. Katowice, ul. Mikołowska 2, Sąd Okręgowy
w Katowicach. Poniedziałek,
7 października 1935. *Poranek* 184
20. Katowice, ul. Stawowa. Poniedziałek,
7 października 1935. *Popołudnie* 201
21. Katowice, ul. Stawowa, Trocadero. Poniedziałek,
7 października 1935. *Sześć godzin później* 208
22. Katowice, ul. Żwirki i Wigury, Wydział Śledczy
Policji Województwa Śląskiego. Piątek,
25 października. *Popołudnie* 213
23. Szopienice, ul. Krakowska. Sobota,
26 października 1935. *Popołudnie* 221
24. Wieś Brzezinka. Niedziela,
27 października 1935. *Poranek* 230
25. Pociąg do Katowic i kawiarnia na katowickim dworcu.
Niedziela, 27 października 1935. *Wieczór* 236

26. Szopienice. Poniedziałek, 28 października 1935. <i>Poranek</i>	249
27. Katowice, ul. Stawowa 19, Trocadero. Poniedziałek, 28 października 1935. <i>Wieczór i noc</i>	256
28. Szopienice, ul. Krakowska; Katowice, ul. Żwirki i Wigury, Wydział Śledczy Policji Województwa Śląskiego. Wtorek, 29 października. <i>Wczesny poranek</i>	266
29. Katowice, ul. Ogrodowa. Wtorek, 29 października 1935. <i>Wczesny poranek</i>	273
30. Katowice, ul. Ogrodowa. Wtorek, 29 października 1935. <i>Południe</i>	278
31. Katowice, ul. Żwirki i Wigury, Wydział Śledczy Policji Województwa Śląskiego. Wtorek, 29 października 1935. <i>Kilkanaście minut później</i>	288
32. Katowice, ul. Ogrodowa. Wtorek, 29 października 1935. <i>Wczesny wieczór</i>	292
33. Katowice, ul. Żwirki i Wigury, Wydział Śledczy Policji Województwa Śląskiego. Wtorek, 29 października 1935. <i>Późny wieczór</i>	295
34. Katowice, ul. Żwirki i Wigury, Wydział Śledczy Policji Województwa Śląskiego. Wtorek, 29 października 1935. <i>Jeszcze później</i>	304
 EPILOG. Hindenburg, kolonia Borsigwerk. Piątek, 1 listopada 1935. <i>Poranek</i>	 310
 KILKA SŁÓW NA ZAKOŃCZENIE	 313

PROLOG

Katowice, Załęże

Wcześniej

Chłód, który przenikał przez jej lekki płaszcz, kłócił się z obecną porą roku, w dodatku chyba znów padało. Nie była tego pewna, bo jej umysł coraz wyraźniej odcinał się od otaczającego ją świata. Na mężczyzn wychodzących z Piwiarni Kościuszkó nie zwróciła uwagi, choć oni długo odprowadzali ją wzrokiem poządlwym i zamglonym od nadmiaru alkoholu. Ledwie dostrzegła małego psa, który biegł za nią od Placu Wolności. Nie reagowała, kiedy jego wyleniały pysk co rusz zbliżał się do jej nagiej kostki i pewnie nawet gdyby chwycił ją pożąłkłymi ze starości zębami, nie poczułaby tego, tak jak nie czuła bólu zeszywniałych mięśni.

Była już tylko cierpieniem. To, co miała zrobić, zmieni ją w kreaturę niegodną nawet tych psich zębów. Wiedziała, że grzechu, który popełni, nie zdejmie z jej ramion żadna spowiedź. Nigdy nie zdoła odpokutować swojej winy.

Ale przecież robiła to wyłącznie z miłości. Stawiała kolejne kroki popychana wiarą, że musi tak postąpić właśnie dlatego, że kocha.

A może tylko tak sobie wmawiała, aby serce nie pękło jej z żalu nazbyt szybko? Była pewna, że to nastąpi, lecz najpierw musiała wymóc na ciele działanie i zrobić coś, co nadal wydawało jej się niewyobrażalne.

Nie знаła tej części Katowic. Pracowała jako pomoc kuchenna u pana Szymury, mieszkającego i prowadzącego sklep z czekoladą i piernikami w Bogucicach, więc nie miała potrzeby zapuszczania się aż na Załęże.

Nazwy mijanych ulic też były jej zupełnie obce. W domu Szymurów wciąż operowało się niemieckimi adresami, choć minęło już dziesięć lat, odkąd Katowice stały się polskim miastem. Z elewacji budynków niemieckość zdołano wymazać szybciej niż z pamięci.

Ale ona nie była stąd. Zupełnie jej nie interesowało, kto rządzi miastem, które tak ją oszukało.

Poznana w kuchni dla ubogich przy zakonie bonifratrów kobieta wytłumaczyła jej dokładnie, dokąd ma się udać, jednak stanowczo zakazała zapisania nazw ulic czy innych wskazówek. Dziewczyna i tak nie zdołałaby tego zrobić. Po trzech latach spędzonych w wiejskiej szkole ledwie składała litery, a z czytaniem było jeszcze gorzej.

Ustnie przekazane instrukcje okazały się wystarczające. Gdy idąc właściwie na oślep, wyczuła łaskoczący w nosie mdły zapach, inny niż ten wydobywający się z hutniczych kominów, wiedziała, że jest prawie u celu. Przystanęła u wylotu wąskiej ulicy, na której nie paliła się ani jedna latarnia. Instynktownie spojrzała na swój związany paskiem prochowiec, a w głowie pojawiła się myśl, że to nagłe ochłodzenie bardzo jej dziś pomogło. Odgarnęła kosmyk włosów przyklejony do zroszonego potem lub deszczem czoła i weszła w czerń nocy. Nie bała się ciemności. Nie mogło się w niej skrywać już nic gorszego od tego, co ją tu doprowadziło.

Ruszyła wolno, starając się, aby jej kroki nie wybudziły ze snu mieszkańców famiłeków ciągnących się po obu stronach.

Na szczęście pies znudził się jej towarzystwem, a może wyczuł czającą się tu niedolę, bo pobiegł dalej, w kierunku Wielkich Hajduk. Dziewczyna miała nadzieję, że stary kundel nie trafi w łapy hylców.

Zatrzymała się przy ostatnim z familoków. Przed nią rozciągały się tereny należące do Huty Baildon, po lewej stronie majaczył niewielki budynek fabryki mydła. To stąd wydobywała się przykra woń, która wskazywała jej drogę. Już nie czuła smrodu wołowego łoju używanego w procesie produkcji, nie słyszała też ponurych pohukiwań dochodzących z huty, choć to właśnie ten wiecznie panujący tu hałas zagłuszał teraz inne dźwięki. Całą uwagę skupiła na jednym z okien na parterze. Przez zaciągnięte zasłony przesączało się blade światło karbidki, kolejny pozostawiony znak. Wszystko było gotowe. Miała wejść do sieni, podejść do drzwi i cicho zapukać dwa razy. Czekano na nią.

Wsunęła dłonie pod poły płaszcza, przymknęła oczy i pozwoliła sobie jeszcze na chwilę zwłoki.

– Tak będzie lepiej – szepnęła łamiącym się głosem akurat w chwili, gdy dzwon na pobliskim kościele wybił północ.

Ruszyła do drzwi, przy których stała drewniana drabina i jakieś metalowe puszki, a potem po omacku wspięła się po kilku schodach na parter. Z każdym kolejnym krokiem jej nogi stawały się coraz cięższe. Unosiła je z wysiłkiem. W powietrzu wyczuła jeszcze inną intensywną woń, której nie umiała zidentyfikować. Zrobiło jej się niedobrze i poczęła drżeć jak podczas wysokiej gorączki nawiedzającej ją w dzieciństwie. Matula łagodziła ją, kładąc na czole córeczki zanurzone w wodzie szmatki.

Wspomnienie matki, która pozostała we wsi Brzezinka, skąd ona uciekła dwa lata temu w nadziei, że nie będzie musiała

do końca życia klepać biedy i kaleczyć sobie stóp o ściernisko, sprawiło, że nie zdołała pohamować łkania. Jej osiemnastoletnie ciało buntowało się i na wszelkie sposoby odводziło ją od podjętej decyzji.

A jednak wyciągnęła rękę, aby zapukać, ale zamiast tego przesunęła czubkami palców po powierzchni drzwi. Jej paznokcie wbiły się w coś lepkiego i wilgotnego, co sprawiło, że przez jej plecy przebiegł kolejny dreszcz, tym razem odrazy.

Z mieszkania zaczęły dochodzić do niej dźwięki: szuranie bosych stóp, tłumiony kaszel, a potem głos. Niski i chrapliwy, którego właścicielką z całą pewnością była kobieta poznana w kuchni dla ubogich.

Czy to możliwe, że już wyczuła jej obecność? Przecież stała się zachowywać cicho.

Dziewczyna stała z uniesioną dłonią, czując nieokreśloną maź na palcach i pod paznokciami, i nie umiała znaleźć w sobie siły, aby się poruszyć, aby wytrzeć dłonie o płaszcz, a później w końcu zapukać, by dać pewność gospodyni, że przyszła ta, której się spodziewa.

Dźwięk przekręcanego zamka sprawił, że zamarła. Czas na podjęcie decyzji już się skończył. Drzwi się uchyliły. Pograżoną w ciemnościach klatkę schodową rozjaśnił wąski snop światła, a ona dojrzała czarne plamy grzyba wylewającego się z jej kątów. Na tej ulicy bieda szła pod ramię jedynie z rozczarowaniem.

– I czamu niy klupiesz, jak zech ci godała? – wycodziła przez zęby stara kobieta, której pomarszczona twarz z bordowymi plamami na policzkach ukazała się w szparze między drzwiami a framugą.

Nie odpowiadała. Wielkimi ze strachu oczyma wpatrywała się w wybawicielkę.

– Wylź – nakazała ostro gospodyni i otworzyła drzwi nieco szerzej.

Ze środka buchnął odór stęchlizny pomieszany z czymś, co sprawiło, że przerażona dziewczyna zrobiła krok w tył.

– No już! – popędzała kobieta, patrząc teraz nie na gościa, lecz na drzwi znajdujące się po drugiej stronie korytarza. – A wy co tam, spać niy umiycie? – rzuciła gniewnie w ich stronę, nie bacząc na zachowanie dyskrecji. – Żeby jo ino niy zaczęła podsłuchiwać, w jakich interesach do wos ta Maniura cołki czas zaglōndo. Ta co jōm ô przemyt posōndzili. Ciekawe, kaj ōna tyn szmugiel trzymie?

Za zamkniętymi drzwiami nadal panowała idealna cisza, a stojąca na korytarzu dziewczyna pomyślała, że jej rozmówcy musiło coś się przesłyszeć.

Stara kobieta odczekała jeszcze chwilę, a potem zakłęła pod nosem i ponownie skupiła uwagę na swojej interesantce.

– Na co czekosz? – prychnęła nerwowo. – Dej to, co żeś prziniesła. Mosz piniōndze?

Złękniona dziewczyna przytaknęła. Zachowanie kobiety było zupełnie inne niż wtedy, gdy w jadalni obiecywała pomoc i zapewniała, że rozumie.

Walcząc z rosnącym przerażeniem, próbowała sobie tłumaczyć, że to podsłuchująca sąsiadka tak zdenerwowała staruszkę. Wszak dobrze rozumiała, jak ważne było zachowanie wszystkiego w tajemnicy.

– Chyba sie mje niy boisz? – Gospodyni ukazała w przytulnym uśmiechu prawie bezzębne zębia, jakby nagle

reflektując się, że swoim zachowaniem płoszy gościa. – Ino jo moga ci dopõmõc – przypomniła łagodnie.

Ona doskonale to wiedziała, ale nie umiała już zagłuszyć krzyczącego w jej uszach głosu, że nie powinna w ogóle tu przychodzić. Odwróciła się i tak szybko, jak była w stanie, zbiegła po schodach. Za sobą usłyszała jedynie głucho trzaśnięcie, a potem tłumione przez okienne szyby przekleństwa.

I po wszystkim. Znów była zdana wyłącznie na siebie. Zaskoczyła ją ulga, która pojawiła się od razu, gdy sobie to uświadomiła.

Doszła do oświetlonej elektrycznymi lampami szerokiej ulicy i przystanęła, by przepuścić nocny tramwaj. Spuściła głowę i zerknęła na zawiniątko skrywane pod połami płaszcza. Niemowlę spało owinięte hacką, cichutkie, jakby wiedziało, że płacz jest bezcelowy.

Młodziutka matka wzięła głęboki oddech, po czym już zupełnie spokojnie ruszyła w kierunku ulicy Mickiewicza, a potem dalej, wzdłuż koryta cuchnącej rzeki Rawy. Szła, nie zważając na zarośla drapiące jej łydki oraz chmary komarów, które kęsały boleśnie i ją, i odsłoniętą główkę dziecka.

Po południu nad Katowicami przeszła burza i spadł ulewny deszcz, a woda w rzece podniosła się i rozlała na łąki oraz nieużytki, których w młodym mieście było jeszcze sporo.

Pogrążona w półśnie dziewczyna, znów nieświadoma tego, co się działo wokół, szła tam, gdzie wszelkie troski miały się zakończyć na zawsze.

1

Katowice, okolice Placu Andrzeja Poniedziałek, 15 lipca 1935

Przedpołudnie

– W końcu usnęłaś!

Andzia Stawówna odetchnęła z ulgą i pochyliwszy się nad wózkiem, okryła nóżki dziecka cienutkim różowym kocikiem. Uważała, że w taki upał niemowlę nie potrzebuje przykrycia, ale jej pracodawczyni stanowczo nakazała trzymać dziecko w cieple, ponieważ dwa tygodnie wcześniej maleństwo przez kilka dni gorączkowało. Andzia pchnęła wózek i ruszyła dalej, by skręcić w stronę jednej z ławek rozmieszczonych wokół fontanny w środkowej części placu. Młodziutka opiekunka miała nadzieję, że szum spadającej z wysokości wody zagłuszy śmiechy dzieci bawiących się na pobliskim placu zabaw i sprawi, że jej kilkumiesięczna podopieczna pośpi co najmniej godzinę.

Usiadła na wolnej ławce. O tej porze nie mogła liczyć, że znajdzie miejsce obok większych drzew, które dawały trochę cienia. Plac zagospodarowano dopiero parę lat temu i trzeba będzie czekać jeszcze kilka, aby wytyczone alejki naprawdę dało się nazwać zadrzewionymi, jak głosiła wychwalająca inwestycję gazeta „Polonia”, czytana przez Joachima Byrtusa każdego poranka przed wyjściem do pracy w urządzie budowlanym. Pracodawca Andzi miał nieco uciążliwy nawyk odczytywania wiadomości na głos, co – jak twierdził –

miało sprawić, że jego małżonka oraz pracująca w domu służba będą wiedzieć co nieco o tym, co dzieje się w mieście i kraju.

Andzię niewiele obchodziło, ile miasto wydało na te liche drzewka i fontannę, ale cieszyła się, że może tu przychodzić z małą Halinką, córką państwa Byrtusów, a jeszcze bardziej radował ją fakt, że z placu wywieźli śmieci. Nieczystości, wznoszące się tu niczym prawdziwe góry, były rajem dla miejskich szczurów tak zuchwałych, że stadkami potrafiły gonić pechowych przechodniów. Jeszcze kilka lat temu dziewczyna omijała to miejsce szerokim łukiem, a teraz z przyjemnością wystawiała twarz do słońca i zapadała w lekką drzemkę. Przebudziwszy się od czasu do czasu, bujała wózek ze śpiącym dzieckiem.

W półśnie wyliczała zadania, jakie wyznaczyła jej na dziś pani Anna Byrtus, mama Halinki. Po południu pracodawczyni Andzi osobiście zajmowała się córeczką, a w tym czasie dziewczyna szła do kuchni, aby pomóc w przygotowaniu obiadu, który jadano późno, dopiero po powrocie pana domu z pracy.

Dziś jednak oprócz obierania warzyw Stawówna otrzymała zadanie wypolerowania wszystkich srebrnych sztuców, które miały być użyte na przyjęciu z okazji czterdziestych urodzin pana Joachima, zaplanowanym na przyszłą sobotę. Na samo wspomnienie czekającej ją pracy twarz młodziutkiej służącej wykrzywił grymas niezadowolenia. Nie lubiła robić porządków, nudziły ją i męczyły, a pani i tak zwykle bywała niezadowolona. Co innego opieka nad Halinką, ta była dla Andzi prosta i przyjemna, wszak sama miała piątkę młodszego rodzeństwa. Zmienianie pieluch i wycieranie zasmarkanych nosków było jej codziennością. Co prawda przy córce państwa Byrtusów musiała starać się bardziej, ale przecież dziecko to dziecko i niezależnie

od tego, czy jego ojcem jest górnik czy wysoki urzędnik, potrzeby ma małe, a w obsłudze jest łatwe.

Kucharce panna Stawówna też pomagała z przyjemnością. Kiedyś myślała nawet, że po skończeniu czwartej klasy szkoły powszechnej ojciec się zgodzi, aby poszła do szkoły wydziałowej, gdzie mogłaby nauczyć się przyrządzania potraw innych niż żur, kapusta kiszona, ziemniaki i jedzona dwa razy w tygodniu gotowana wieprzowina. Po takiej szkole mogłaby dostać pracę w kuchni szpitala albo ochronki dla dzieci, a gdyby jej się bardziej poszczęściło, może i w prawdziwej restauracji. Niestety, kiedy kopalnia, w której pracował ojciec, została zamknięta, a nad głową rodziny Stawów zawisło widmo nędzy, o żadnej szkole mowy już nie było. Andzię wysłano na służbę. I choć po pewnym czasie kopalnię znów otwarto, ojciec nie dostawał już takiego wynagrodzenia jak „za Niemca”, więc dziewczyna musiała sama zarobić na swoje utrzymanie.

Cichy płacz dziecka sprawił, że młodzianka opiekunka natychmiast oprzytomniała, wstała i ruszyła alejką prowadzącą wokół fontanny. Liczyła, że małeńka jeszcze zaśnie. I faktycznie ruch wkrótce uspił dziecko, ale Andzia wiedziała, że nie może już usiąść, jeśli chciała mieć choć chwilę spokoju. Obeszła więc wodę dookoła, podobnie jak inne spacerujące kobiety.

Dochodziła jedenasta i robiło się naprawdę gorąco. Po kilku dniach ochłodzenia i dwóch niezwykle silnych ulewach słońce znów weszło nad Katowicami i równo dokuczało wszystkim niezależnie od zamożności czy wykonywanej pracy. Stawówna postanowiła opuścić rozgrzany plac i wejść między kamienice rzucające cień. Była już prawie przy ulicy Mikołowskiej, gdy ktoś schwycił ją mocno za ramię. Wzdrygnęła się przestraszona

i odskoczyła gwałtownie, przez co omal nie przewróciła wózka. Ponownie wybudzona dziewczynka zaniósł się płaczem.

– Jak dobrze, że cię złapałam – powiedziała do opiekunki obca kobieta, bardzo czymś poruszona. – Musisz biec jak najprędzej do domu. Z panią jest bardzo źle. Leży zemdlona i ledwie żywa. Trzeba pomóc!

Nieznajoma mówiła szybko, nie dając Andzi szans na zadanie jakiegokolwiek pytania. W pewnej chwili chwyciła rączkę wózka i odsunęła go od niani.

– No biegnij już, biegnij! – poczęła krzyczeć, ni to zdenerwowana, ni to przestraszona. – Ja tu z nim zostanę. Obyś tylko zdążyła.

Andzia odniosła wrażenie, że gorąc, który już wcześniej jej doskwierał, jeszcze się nasilił. Spocły jej się dłonie, a serce biło tak szybko, że aż chwyciła się za pierś w obawie, że zaraz i ona podzieli los pani Byrtus. Nie wiedziała, co robić. Znów otworzyła usta, aby o coś zapytać, ale kobieta powtórnie szarpnęła ją za rękę.

– Jeśli ci miłe życie twojej pani, pospiesz się! – naskoczyła na Stawównę. – Zaopiekuję się chłopcem – dodała już spokojniej.

– To dziewczynka – poprawiła ją szybko Andzia.

Wydało jej się, że dostrzegła zaskoczenie w oczach nieznanym.

– Oczywiście – prychnęła tamta coraz bardziej zdenerwowana. – Idź już! Idź! Trzeba wezwać pomoc.

Stawówna jeszcze raz spojrzała na czerwoną od płaczu buzię Halinki, a potem, już o nic nie pytając, ruszyła pędem w kierunku Placu Wolności, na którym w kamienicy numer 5 ulokowane było przestronne mieszkanie państwa Byrtusów.

Biegła co sił w nogach, mając w głowie zupełny mętlik i setki pytań. Co takiego mogło się stać? Czy wezwano już pana Byrtusa? Czy zawiadomiono lekarza? Czy to kucharka po nią posłała? Tak, to musiała być ona. Staruszka pewnie wpadła w histerię, ujrzawszy zemdloną panią. Może poczęła wołać z okna, aby ktoś pobiegł po Andzię. Ale skąd ta obca kobieta wiedziała, kogo ma szukać? Czy kucharka mimo strachu zdołała aż tak dobrze ją opisać? A może pamiętała, jak wygląda wózek Halinki, wszak jego ciemnozielony kolor był bardzo charakterystyczny.

Gdy jedne rzeczy poczynają się układać, inne natychmiast przestawają pasować, a im bliżej była Andzia domu swoich pracodawców, tym większe ogarniało ją przerażenie.

Wpadła do bramy i prawie przewróciła stojącego w niej gospodarza. Ten począł coś krzyczeć, lecz ona nie mogła się teraz zatrzymać. Drewniane stopnie przeskakiwała po dwa naraz, choć pani zawsze jej tłumaczyła, aby chodzić cicho i nie przeszkadzać innym lokatorom w odpoczynku.

Chwyciła za klamkę dwuskrzydłowych, częściowo przeszklo-nych drzwi i pchnęła je gwałtownie. Na środku korytarza, kilka metrów przed nią, stała pani Byrtus. Cała i zdrowa. Andzia widziała, jak jej zagniewanie zmienia się w zdziwienie, a potem piwne oczy kobiety ciemnieją lękiem.

– Gdzie jest Halinka? – zapytała nie swoim głosem Anna, ale dziewczyna nie była jej w stanie odpowiedzieć, bo przedpokój wraz ze wszystkimi zgromadzonymi tam meblami począł wirować.

Musiała przytrzymać się obitego ciemnym flauszem fotela, aby nie upaść.

2

Szopienice, ul. Krakowska Poniedziałek, 15 lipca 1935 roku

Przedpołudnie

Z okienka na strychu wszystko wyglądało lepiej. Przejeżdżające samochody aż tak nie hałasowały, nie było widać pochmurnych twarzy przechodniów ani pokrytych ulicznym kurzem dzieci bawiących się na podwórkach i w bramach familoków. Tutaj u góry ponoć też mniej śmierdziało, choć akurat o tym wspominał jedynie wuj Jorg, gdy przyjeżdżał do Szopienic w odwiedziny. Nikt z mieszkańców tej przyklejonej do wielkich Katowic miejscowości nie czuł już bowiem kwaśnego fetoru płynącego od strony huty cynku Uthemann i huty ołowiu Walther Croneck.

Teo Urbanek mimowolnie spojrzał w prawo, gdzie ponad dachami budynków widoczne były smukłe kominy, ale szybko odwrócił wzrok i ponownie skupił się na tym, co zajmowało go zdecydowanie bardziej. Kapitan, Inspektor i Przodownik patrzyli na niego, lekko przechylając głowy, jakby irytował ich fakt, że Teo gapi się bez celu na ulicę, zamiast poświęcić im całą uwagę.

– Dobrze się wczoraj spisałyście – uśmiechnął się mężczyzna. – Teraz odpoczywajcie, bo niedługo kolejne zawody.

Sięgnął po dziennik leżący na prowizorycznej półce, pokrytej, jak wszystko wokół, piórami i odchodami gołębi. Prowadził

w nim ewidencję hodowli, codziennie zapisywał stan ptaków i poczynione obserwacje. Po chwili odłożył zeszyt na miejsce, raz jeszcze się upewnił, czy w poidłach jest woda, po czym lekko pochylony wyszedł z gołębnika i zamknął za sobą drzwiczki zrobione z surowego drewna.

Gdyby to od niego zależało, gołębie mogłyby poruszać się swobodnie po całym strychu, a nie tylko po niewielkiej wydzielonej części, ale baby nigdy by się na to nie zgodziły. I tak już narzekały, że przez jego ptoki wszędzie unosi się pył, który brudzi suszące się tu pranie.

– Ech, kobiety! – Teo pokręcił głową nieco rozżalony.

Jeśli by atakujące go nieustannie sąsiadki choć raz przyszły na zawody i zobaczyły, jak jego drużyna lata, pewnie nie kłóciłyby się aż tak o odrobinę kurzu na schnących tu łąkach – już i tak starych i wielokrotnie cerowanych.

Znów oczyma wyobraźni zobaczył Kapitana szybującego na tle szarego nieba. Jego muskularne ciało, pióra pokryte cienką warstwą tłuszczu, lecz jednocześnie niezwykle miękkie, a przede wszystkim oko... Teo aż westchnął, gdy pomyślał o tęczówce Kapitana, grubej i pięknie ubarwionej. Urbanek dbał o wszystkie swoje gołębie, ale to Kapitan był jego największą dumą i miłością. Ten ptak to prawdziwy mistrz i wczoraj podczas zawodów zorganizowanych przez Górnośląskie Towarzystwo Hodowców Gołębi Pocztowych po raz kolejny to udowodnił, kiedy pierwszy powrócił z Warszawy. Teodor na samo wspomnienie tej chwili odczuwał dumę i przenikające go wzruszenie. Nawet prezes towarzystwa pan Piotr Sikora osobiście mu pogratulował.

Mężczyzna wyszedł ze strychu i podążył na pierwsze piętro.

– Na piecu mosz zupa. Jo już zjadła i ôjcu dała, bo niy wiydziałach, wiela ci slezie* przy tych ptokach – powitała go matka, nie odrywając wzroku od koszuli, do której właśnie przyszywała oderwany guzik.

– Sôm zech miał to zrobić – powiedział Teo, zerknąwszy na wykrzywione reumatyzmem palce matki.

Hyjdlą Urbankowa uniosła głowę i spojrzała na syna w sposób, który jasno dawał mu do zrozumienia, aby nie gadał głupot. Dobrze wiedział, że u matki podział ról był jasny i nie podlegał dyskusji. Były zadania przeznaczone dla chłopów i te dla bab, a szycie właśnie do nich się zaliczało.

Nim Teodor przeszedł do kuchni, aby zjeść czekający na niego obiad, skupił uwagę na ojcu. Alojzy Urbanek leżał w półśnie na wąskim łóżku ustawionym pod jedną ze ścian drugiej izby, używanej jako pokój codzienny. Mężczyźnie brakowało kilku miesięcy do sześćdziesiątych urodzin, ale wyglądał jak starzec. Jego porośnięta dwudniowym zarostem twarz była wychudzona. Policzki zapadły się przez zupełny brak zębów.

– Jak sie ôjciec dzisiej mocie? – zapytał Teo bardziej z przyzwyczajenia lub obowiązku niż z faktycznej potrzeby uzyskania informacji.

Przecież dobrze znał odpowiedź.

Alojzy poruszył się, a zza jego zaciśniętych warg wydobyło się jedynie ciche mruknięcie.

– Zjem i wos ôgola – oznajmił Teodor, czując wyrzuty sumienia, że nie zrobił tego rano, gdy ojciec był w lepszej kondycji.

* Slezie – zejdzie, upłynie.

Popołudniami, po ledwie tkniętym obiedzie, stary Urbanek zapadał w niespokojne drzemki, z których często budził się z dusznościami, obezwładniającym bólem żołądka, wymiotami, a czasem nawet majakami.

Mężczyzna zaczął chorować wiele lat temu. Nie był wyjątkiem, większość pracowników hut, między którymi mieszkali, cierpiała na przeróżne dolegliwości i nie pomagało na nie pół litra mleka na osobę, wydawane na każdej zmianie. Alojzy Urbanek i tak przeżył już większość kamratów*, z którymi pracował, i dopóki mógł, odwiedzał ich na miejscowym cmentarzu. Ojciec Teodora wytrwał na swoim stanowisku przy piecu destylacyjnym aż do pięćdziesiątych urodzin. Był prawdziwym rekordzistą, ale w końcu pewnego marcowego przedpołudnia do drzwi ich mieszkania na Krakowskiej zapukało dwóch synków wysłanych przez kierownika zmiany z informacją, że ojciec przewrócił się przy piecu. Wezwano karetkę. Nieprzytomnego Urbanka zabrano do szpitala. Nikt nie miał nadziei, że wypuszczą go żywego, ale po miesiącu jednak wrócił, tyle że do żadnej roboty już się nie nadawał. Jego stanu nie poprawiały ani przepisane leki, ani rachityczne warzywa hodowane w ogródkach za domami, ani zioła, po które matka jeździła aż do Katowic do jednej z zielarek.

Choroba ojca zbiegła się z czasem wielkiego kryzysu. Ceny szybowały w górę. W domu Urbanków też pisała bieda. Co prawda ojciec dostawał zapomogę, bo wszyscy pracownicy okolicznych hut byli ubezpieczani w kasie spadkobierców Giesche-go, ale kwota, po którą matka z poczuciem wstydu chodziła co

* Kamrat – kolega.

tydzień, nie wystarczała na utrzymanie rodziny, na wykupienie wszystkich lekarstw czy przyzwoite jedzenie. Teo, który wówczas też pracował już w hucie, z dnia na dzień stał się jedynym żywicielem rodziny i musiał podołać temu zadaniu. Tak to już było w robotniczych familiach, że jeśli ojciec zaniemógł bądź umarł, utrzymanie domu spadało na barki najstarszego syna. I nie miało znaczenia, czy tego chciał. Prawo zwyczajowe było świętsze od tego ustanawianego przez sądy i rządzących.

Teodor nie był głupi, widział, że tu, w Szopienicach, ludzie umierają młodzi, a przez lata cierpią na różne schorzenia. I to nie tylko pracujący przy cynku i ołowiu mężczyźni, ale również ich żony, a nawet dzieci. I nie przypadkiem właśnie tutaj już w 1913 roku otworzono szkołę specjalną, która zawsze była przepełniona. Mężczyzna czuł, że huta jednocześnie żywi ich i truje, że to ten kwaśny dym, tak drażniący wuja Jorga, był tego przyczyną. Nie miał jednak pojęcia, jak odmienić los, który z pokolenia na pokolenie prowadził od kołyski przez bramę fabryki aż na pobliski cmentarz. Zmieniały się rządy i języki, którymi nakazywano im mówić, walczono tu raz za Polskę, raz za Niemcy, ale umierano zawsze za swoje, w zaciszu izb pachnących szarym mydłem i gotowanymi kartoflami. Taki był porządek świata i Teodor nawet nie myślał o tym, aby się przeciwko niemu zbuntować. Zawsze był obowiązkowy i odpowiedzialny. Uznał, że najwyraźniej Bóg nie tylko nakazał mu być hutnikiem, ale również wyznaczył funkcję opiekuna siostr i starzejących się rodziców. Przyjął ten los ze spokojem i zrozumieniem.

Decyzja o porzuceniu jednej z nadanych mu ról, którą pod wpływem impulsu podjął tamtego dnia, pociągnęła za sobą wiele konsekwencji. Na większość z nich nie był gotowy.

– Mosz dzisioj wolne, synek. To jak zjysz, idź na piwo. Przydo ci sie trocha pogodać z kamratami. A niy ino te briwy* a briwy. Na strychu baby niy znojdziesz.

Głos matki, która nie wiadomo kiedy stanęła tuż za nim, sprawił, że ramiona Teodora drgnęły. Nie zdawał sobie sprawy, jak daleko odpłynął myślami.

– A po co mi baba, kej wy mi gowa suszycie – zażartował, odwracając się.

Kobieta złapała się pod boki i cmoknęła niezadowolona.

– Ani jo, ani te ptoki szklōnki wody ci na starość niy prziniesōm. Sōmymu źle na świecie, a już samotnemu chōpowi nojgorzjij.

Twarz Urbankowej nagle spoważniała. Teodor wiedział, jakie słowa zaraz padną, i bardzo nie chciał ich usłyszeć.

– Synek – szepnęła wyraźnie zakłopotana. – Jo wiy, jak ci wtedy było ciynżko. Przed matczynym sercym tegoś niy skrył. Ale to już sie skōńczyło. Twoje siostry już sōm na swoim, a my przeca sie poradzymy. Niyjedna dzioucha za tobōm ōczami strzyże.

Teodor poczuł, jak dawny smutek znów ściska go w gardle. Tyle lat minęło, powinien już dawno pogodzić się z tą stratą. Przed oczami pojawiła mu się twarz Kaśki, zamrugał szybko i obraz na szczęście zniknął.

– A wycie, że w gospodzie to trudnij niż na strychu baba trefić? – powiedział, próbując obrócić w żart ogarniającą go melancholię.

* Briwy – gołębie.

Wiedział, że matka się o niego martwi. Wszak nieczęsto się zdarzało, żeby mężczyzna, już dawno przekroczywszy trzydziesty rok życia, wciąż był kawalerem. Tym bardziej jeśli miał dobrą i pewną pracę. A przecież on nawet o mieszkanie nie musiałby się troszczyć. Gdyby tylko chciał, otrzymałby przydział w Katowicach, mógłby też pozostać tutaj. Matka miała rację, teraz, kiedy siostry wyszły już za mąż, znalazłoby się miejsce dla drugiej gospodyni. Pieniędzy też by nie brakowało.

– Dobrze, wypija piwo, jeśli to wos mo uspokoić – obiecał, by nie przedłużać tej niełatwej dla niego rozmowy. – Ino najsamprzōd zjem i ôjca jeszcze ôgola.

Przez chwilę oboje w milczeniu przyglądali się leżącemu mężczyźnie, który mimo otwartych oczu wydawał się nie zdawać sprawy z ich obecności. W końcu kobieta ciężko westchnęła i nerwowo machnęła ręką. Teo nie był do końca pewny, czym spowodowany był ten gest bezsilności. Hyjdla traciła cierpliwość do syna czy do męża? Choć kobieta od lat zajmowała się ślubnym, tak jak przystało dobrej żonie, Teodor wiedział, że chciałaby, aby mężczyzna – stojący okrakiem między tym a tamtym życiem – wreszcie się zdecydował i albo wyzdrowiał, albo umarł.

Jedząc zupę i zagryzając ją co chwila pajdą chleba, rozmyślał, jak tu uniknąć wizyty w gospodzie i jednocześnie nie zrobić matce przykrości.

Odkąd porzucił pracę w hucie, jego relacje z kolegami i sąsiadami uległy zmianie. W krótkich rozmowach chwalono go i podziwiano za to, jak sobie radzi, czasem proszono nawet o wstawiennictwo lub poradę, ale gdy zdarzało mu się wpaść do karczmy, atmosfera natychmiast robiła się gęsta, a w powietrzu

unosił się nie tylko wsiąknięty w deski stołów nieprzyjemny zapach starego piwa, lecz i zdecydowanie trudniejsza do zniesienia woń nieufności. Chociaż nikt nie okazywał tego wprost, Teodor czuł, że ludzie obawiają się mówić przy nim o wielu rzeczach.

Już nie był jednym z nich.

Ojciec również nie umiał mu wybaczyć braku poszanowania dla tradycji.

– My sōm hutniki z dziada pradziada – wyrzucał mu, kiedy jeszcze miał siły, aby okazywać gniew. – Twój starzik robił na hucie, jo zech tam robił i tyś tyż powinien. Po co tracić ludzki reszpekt*?

Podczas takich rozmów Teodor chciał odpowiedzieć ojcu, że to huta sprawiła, że jest wrakiem człowieka i matka musi go myć, a czasem nawet podcierać, bo on jest na to za słaby. Nigdy jednak nie znalazł w sobie odwagi, aby rzucić ojcu w oczy coś tak okrutnego. Zresztą zdawał sobie sprawę, że gdyby nie przypadek, on też utknąłby w Uthemannie. Spełniał sumiennie synowskie obowiązki, okazywał należny ojcu szacunek, ale coraz rzadziej czuł prawdziwą, płynącą z serca troskę. Huta postawiła między mężczyznami mur z bardzo twardych cegieł.

Ktoś zapukał do drzwi w chwili, gdy Teodor, odrzuciwszy od siebie ponure myśli, począł się zastanawiać, czy nie nalać sobie jeszcze jednej chochli zupy, aby choć odrobinę odwlec konieczność zdecydowania, co zrobić z dalszą częścią wolnego dnia. Nasłuchując kroków matki zbliżających się do drzwi wejściowych, podszedł do pieca. Nie zdążył jednak podnieść pokrywki garnka.

* Reszpekt – szacunek.

Natychmiast rozpoznał głos, który usłyszał w sieni. Westchnął ciężko i odłożył talerz. Już wiedział, że zupa będzie musiała poczekać do wieczora, a może dłużej, na szczęście karczma też.

– Podkomisarzu Urbanek – odezwał się młody posterunkowy, którego imienia Teodor nie mógł sobie przypomnieć. – Jest pilna sprawa, komisarz Brodniewicz* wzywa pana na komendę.

Teo kątem oka dostrzegł, jak stojąca za posterunkowym matka załamuje ręce i wznosi oczy ku sufitowi. Wiedział, że teraz i ona przeklina jego pracę i w głębi ducha wołałaby, żeby – tak jak synowie innych kobiet – jej latorośl również traciła zdrowie na odlewni czy walcowni. Wtedy miałaby czas i na piwo, i na poszukiwanie żony.

Urbanek musiał przyznać, że on również liczył na ten pierwszy od dłuższego czasu wolny dzień. Nawet gdyby musiał wypić to jedno piwo, potem miałby dla siebie cały wieczór i kilka wyciętych z gazet artykułów na temat gołębi, których nie zdążył jeszcze przeczytać. Cóż, jak widać, Katowice nie próżnowały nawet w tak piękny lipcowy dzień.

W kilka minut włożył świeżą koszulę, dziękując w duchu matce za przyszyte guziki. Wziął kanapki, które mu szybko przygotowała, i wyszedł z mieszkania.

– Napad na bank? – zapytał, gdy już zdołali przegonić grupę dzieci zebranych przy nowiutkim motorze Sokół 600. Motocykle te były dumą śląskiej policji.

– Gorzej – odpowiedział posterunkowy, przekrzykując ryk włączonego silnika. – Porwanie dziecka.

* Komisarz Stanisław Brodniewicz (1895–1975) – postać autentyczna, kierownik Wydziału Śledczego Policji Województwa Śląskiego w Katowicach.

Teodor przeklął w duchu. Nienawidził spraw, w których poszkodowanymi były dzieci. Niestety, takich w Katowicach nie brakowało. Bezrobocie i bieda rozbudzały w ludziach najgorsze instynkty, a i małoletni byli często winni kradzieży i pobić. Obyczajówka również miała pełne ręce roboty, zgarniając z ulic dziesięcio- czy jedenastoletnie dziewczynki, które próbowały zarobić na chleb dzięki sprzedaży swojego ciała.

Porwanie było jednak zbrodnią niecodzienną.

W drodze z ulicy Krakowskiej na położoną w centrum Katowic ulicę Żwirki i Wigury w Teodorze Urbanku poczęła narastać ciekawość.

3

Katowice, Plac Wolności Poniedziałek, 15 lipca 1935

Południe

– Niech się panienka spróbuje uspokoić.

Teodor pochylił się w stronę pomocy domowej siedzącej na krześle obok. Dziewczyna, która została oszukana przez porywaczkę, nie przestawała szlochać, a do tego mówiła tak chaotycznie, że Urbanek niewiele rozumiał ze składanych przez nią zeznań. Mimo to każde jej słowo skrupulatnie zapisywał w niewielkim notesie. Doskonale wiedział, że czasem z pozoru najmniej istotna informacja może okazać się tą kluczową.

– Państwo mnie teraz na pewno wyrzucą, a to nie moja wina – łkała, wycierając brzegiem fartuszka załzawione oczy. – Ona mówiła, że pani leży ledwie żywa, że muszę biec. Była taka przejęta.

– To już wiem. – Teo, mimo pewnego zniecierpliwienia, nadal przemawiał spokojnym tonem. Nie zdarzało mu się krzyczeć na przesłuchiowanych, choć wiedział, że uniesiony głos czasem stawia do pionu rozemocjonowanych świadków przestępstw. – Jak ta kobieta wyglądała? – zadał łagodnie kolejne pytanie, mając nadzieję, że tym razem dziewczyna odpowie rzeczowo. Zdawał sobie sprawę, że przy porwaniach czas ma ogromne znaczenie.

Andzia Stawówna przymknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze. Teo liczył, że to jej sposób, aby się nieco uspokoić.

– Ta pani na pewno była młodszo od pani Byrtus, ale starszo ode mnie. Włos miała taki blond, chyba ufarbowany, i cieńkie, czarne brwi, wie pan policjant, takie namalowane. Mnie to się nawet podoba, ale pani Byrtus godo, że takie szkubanie brwi nie przystoi porządnej kobiecie – rozgadała się Andzia.

Teodor widział, że dziewczyna bardzo się stara mówić poprawną polszczyzną, domyślał się, że Byrtusowie łajają ją za śląską godkę. On zaś wolałby, aby przesłuchiwana odpowiadała swobodnie, wtedy z pewnością wszystko przebiegłoby sprawniej.

– Wyglądała porządnie. Przeca nie zostawiłabym Halinki jakiejś dziadówce. – Andzia spojrzała na podkomisarza wzrokiem szukającym zrozumienia.

Mężczyzna ciężko westchnął.

– No dobrze już. Czyli wyglądająca na porządną kobieta, o jasnych włosach i czarnych brwiach, zaczęła panienkę i kazała biec do domu, twierdząc, że pani Byrtus zaniemogła – podsumował. – Coś jeszcze panienka pamięta? – zapytał, choć patrząc na roztrzęsioną dziewczynę, wątpił, aby zdołał zmusić jej umysł do dalszego wysiłku.

– Chyba tylko tyle, że... – jąkała się Andzia.

– Proszę powiedzieć wszystko, co panienka pamięta, i nie zastanawiać się, czy to ważne – zachęcił ją Teo.

– Ona nie wiedziała, że Halinka to Halinka.

Teo zmarszczył brwi.

– Co panienka ma na myśli?

– No, no... Powiedziała „zaopiekuję się chłopcem” i dopiero ją poprawiła, że to przeca Halinka, dziouszka. O Jezu najdroższy! – Szloch panny Stawówny znów się nasilił. – Powinnam się domyślić. Powinnam była wiedzieć, że ona mnie cygani!

Teodor wstał z krzesła i stanął obok dziewczyny, która zasłaniając twarz dłońmi, kiwała się do przodu i do tyłu jak w transie. Uniósł dłoń, aby dotknąć jej ramienia i nieco wesprzeć dobrym słowem. Porzucił jednak ten zamiar.

– Przyślę do panienki rysownika, może uda się stworzyć portret pamięciowy tej kobiety – powiedział bez przekonania, a potem wyszedł z pokoju.

Stawówna została sama z poczuciem winy, strachem o dziecko, a może bardziej jednak o swój własny los.

Urbanek przystanął w szykownie urządzonym przedpokoju i zaczął się zastanawiać, czy istotne jest to, co dziewczyna przypomniała sobie na koniec. Czy brak wiedzy o płci dziecka może mieć jakieś znaczenie?

Ponownie wyjął z brustaszy notes i długopis, by jeszcze raz podkreślić zapisaną wcześniej informację. Chwilę później zza jednych z zamkniętych drzwi znowu dobiegł do jego uszu głośny płacz.

Chociaż wołałby tego nie robić, nacisnął klamkę i wszedł do przestronnego salonu, gdzie starszy przodownik Francik Bujok przesłuchiwał zrozpaczonych rodziców porwanej Halki. Twarz policjanta była czerwona i błyszcząca niczym najdородniejsza reneta.

Urbanek pomyślał, że jego nieco starszy wiekiem, ale młodszy stopniem kolega wołałby teraz mieć przed sobą najgroźniejszego recydywistę albo nawet jakiegoś zwykłego ulicznego złodziejaszka grasującego w upiornym przesmyku między dworcem a południową częścią śródmieścia. Wtedy śledczy mógłby dać upust emocjom, pokazać, kto rządzi podczas przesłuchania. Przerazenie rodziców, którzy nie wiedzieli, czy zobaczą jeszcze

swoje jedyne dziecko, widocznie go przerastało. Francik gubił się w sprawach, które wymagały delikatności, nie siły. Choć w porównaniu z dobrze zbudowanym Teodorem mężczyzna był mizernego wzrostu, a nieco pucułowata twarz nie wzbudzała respektu, bardzo mylili się ci, którzy uznawali, że podczas przesłuchań mogą z nim sobie igrzać.

Ani Francik, ani Teo nie mieli jednak wyboru: komisarz Stanisław Brodniewicz, stojący na czele wydziału śledczego, właśnie im zlecił zajęcie się sprawą porwania dziecka. To, czy im to pasowało, czy też nie, nie miało najmniejszego znaczenia.

Teodor podszedł bliżej i patrząc na wilgotny od potu kołnierzyk policjanta, poklepał go po ramieniu.

– Szef chce z tobą rozmawiać – skłamał bez zająknięcia.

Liczył, że kolega pamięta, że takie stwierdzenie jest jednym z elementów ich dawno nieużywanego szyfru. Wymyślili go, gdy obaj znaleźli się w wydziale śledczym i w końcu nabrali do siebie zaufania, a Franciszek stał się Francikiem.

Mężczyzna spojrzał na Teo nieprzytomnie, na szczęście już po chwili się zorientował, że podkomisarz pozwala mu odetchnąć.

– Tak, tak, ten teges – wyjąkał, a następnie pospiesznie wyszedł z pokoju i pozostawił Teodora z rozgrywającym się tu dramatem.

Urbanek znów wyciągnął notes i otworzył go na niezapisanej jeszcze stronie.

– Czy jest ktoś, z kim są państwo w konflikcie? Kto dla zemsty chciałby porwać państwa dziecko? – zaczął bez wstępów, w obawie, że zaraz któremuś z rodziców przyjdzie na myśl zapytać, czy to sam komisarz Brodniewicz, a może nawet

nadkomisarz Marian Chomrański, naczelnik Urzędu Śledczego Policji Województwa Śląskiego*, o którym w Katowicach słyszeli chyba wszyscy, przybył do ich mieszkania, aby poprowadzić śledztwo.

– Już mówiliśmy, że nie – odparł Joachim Byrtus, a Teo usłyszał w jego głosie nie tylko strach, ale i pewne zniecierpliwienie. – Prowadzimy spokojne i uczciwe życie, pracuję w urzędzie budowlanym, a nie w podatkach, nikomu nie zaszedłem aż tak za skórę. Nie mam wrogów i nie mamy też u nikogo długów – wyliczał, jednak spostrzegawcze oko podkomisarza dostrzegło ledwie zauważalne zawahanie, gdy pan domu wspomniał o długach.

– A państwa służąca? Andzia Stawówna? Co o niej wiecie? – zadał kolejne pytanie Teo.

– Andzia? To ją pan podejrzewa? – wykrzyknęła pani Byrtus i złapała się za serce. – Myśli pan, że mogła coś zrobić Helence?

Teo chciał wierzyć, że ściany w tym wytwornym mieszkaniu są dostatecznie grube, aby pozostająca w swoim pokoiku dziewczyna nie usłyszała choćby urywków tej rozmowy. To najpewniej kompletnie by ją załamało.

– Sprawdzamy wszelkie wątki – wyjaśnił spokojnie. – Bardzo proszę odpowiedzieć.

– Pracuje u nas od kilku lat – odrzekł pan Byrtus, gdy stało się jasne, że jego żona nie jest w stanie wypowiedzieć już ani słowa. Jej twarz pobiadła jeszcze bardziej, a czoło zrosiło się potem. Obaj mężczyźni spoglądali na nią z rosnącym niepokojem. – To dobra dziewczyna, naprawdę lubiła Halinkę. Jestem pewien, że nie zgodziłaby się, aby ktoś zrobił jej krzywdę. Poza tym...

* Nadkomisarz Marian Chomrański – postać autentyczna.

Joachim Byrtus zamilkł i przysunąwszy się do małżonki, złapał ją za nadgarstek, jakby chciał zbadać jej puls. Kobieta nie zareagowała, wydawało się, że zatraciła się już zupełnie w przeżywaniu nieszczęścia.

– Co poza tym? – Teo musiał jeszcze choćby na chwilę skupić na sobie uwagę mężczyzny. Podejrzał, że za moment trzeba będzie wezwać lekarza.

– Gdyby nawet przyszło jej do głowy uprowadzenie dziecka dla okupu, Andzia pracuje dla nas już dostatecznie długo, aby wiedzieć, że... – Byrtus przerwał, a z jego piersi wydobyło się ciężkie westchnienie. – Że ostatnio nie wiecie nam się najlepiej i nie mamy wielkich pieniędzy.

Podkomisarz pokiwał głową z uznaniem. Wiedział, że taka szczerość wśród zamożnych mieszczan nie zdarzała się często.

– Ale większość nadal sądzi, że stać was na hojność w zamian za odzyskanie córeczki?

– Wszyscy na Placu Wolności, a może i wszyscy w śródmieściu tak uważają – odezwała się niespodziewanie matka porwanego dziecka. – Oboje z mężem skutecznie ukrywaliśmy kłopoty, uznawszy, że są przejściowe. Mieliśmy jeszcze oszczędności.

– Które już się skończyły – dodał Joachim, a następnie zerwał się z obitego zielonym flauszem fotela, podszedł do okna i zatrzaskał je z impetem.

Teo zastanowił się, czy to dzwoniące przejeżdżających tramwajów tak zaczęło mu przeszkadzać, czy może jednak szczerość, z jaką podzielił się finansowymi kłopotami, nie obejmowała jeszcze sąsiadów, którzy z całą pewnością wychylali się teraz przez otwarte okna, aby podsłuchać, co takiego wydarzyło się u tej szanowanej rodziny.